

Rog Phillips

Starzy Marsjanie

(The Old Martians)

If, March 1952

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "The Old Martians" by Rog Phillips, published by Project Gutenberg, May 30, 2010 [EBook #32590].

According to the included copyright notice: "This etext was produced from If Worlds of Science Fiction March 1952. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

[http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB kolekcja%22&sort=-publicdate](http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB+kolekcja%22&sort=-publicdate)

Człowiek w hełmie korkowym stał odwrócony do mnie tyłem. Zgarbiony, krzychał do dziewczyny w obiektywie swojej kamery filmowej:

— Nie stój tam jak kołek, Dotty! Rusz się! Zrób coś! Cofnij się w stronę tej kolumny z inskrypcjami...

Dziewczyna była smukła, długonoga, o idealnych proporcjach ciała, jej rysy twarzy i kolor skóry wskazywały na perfekcyjną norm-mieszankę, bez elementów atawistycznych. W tym momencie, próbując zastosować się do reżyserskich uwag człowieka z kamerą, wydawała się być jakby zdeorientowana i trochę wystraszona. Uśmiechnęła się sztucznie, odwróciła głowę, żeby popatrzeć na znajdujący się za jej plecami kawałek ściany, wyciągnęła rękę i zaczęła wodzić palcem po liniijkach niemal zatartej inskrypcji na powierzchni kamienia.

Kamera przestała furkotać. Jej właściciel wyprostował się i wyburczał:

— To wszystko.

Teraz dziewczyna mogła wrócić do swoich własnych spraw. Szybko przebiegła wzrokiem tłum, ale nie znalazła osoby, której szukała. Zaczęła przesuwając się w stronę łukowatej bramy prowadzącej głębiej w ruiny.

Poszedłem powoli za nią.

Przeszła pod łukiem, zatrzymała się i odwróciła głowę w prawo, z oczyma utkwionymi w coś, co z mojego miejsca było niewidoczne. Znalazła go, ale jednocześnie zobaczyła mnie i jej niepokój się pogłębił.

Kiedy wycofała się w tłum, ja przespacerowałem obojętnie pod łukiem.

Znajdował się tam trudny do zauważenia pasaż, oczywiście już od pół miliona lat pozbawiony dachu. Zaś dwadzieścia stóp dalej, zapomniawszy o całym świecie, poza tym co znajdowało się bezpośrednio przed nim, kucał mój człowiek.

Jego wzrost oraz budowa ciała, były nieco poniżej normy. Ale to profil przyciągnął moją uwagę. Ewidentny atawizm; atawizm wyraźnego rodzaju.

Prawdę mówiąc, mógłby on służyć w podręcznikach jako model typu, określanego jako brytyjski. Podobieństwo było subtelne. Było ono zauważalne tylko dla oka wykształconego w ich rozróżnianiu.

Skupiłem się na całej jego postaci. Kiedy badawczo dotykające ziemi dłonie tego człowieka zatrzymywały się, jego łokcie miały zwyczaj wykonywania trzepoczących ruchów, co sprawiało dziwne, ptasie wrażenie. Dodajmy jeszcze pewien ślad niezgrabności w liniach chudego ciała, w przeciwieństwie do kociej gładkości i gracji norm-mieszanki. Tak bardzo pasowało to do rysów jego twarzy, że mogło posłużyć jako dowód potwierdzający psycho diagnozę.

Atawizm z ery sprzed dziesięciu tysięcy lat i dlatego, jak twierdzą podręczniki, skłonny do niestabilności umysłowej. Trudno się było dziwić, że dziewczyna, którą nazywano Dotty, roztaczała wokół siebie atmosferę wiecznego zmartwienia i niepokoju!

Właśnie się wyłoniła, z drugiej strony ruin, i podeszła do mężczyzny.

Wyczuł ją raczej niż zobaczył, wstał i wyprostował się, każdy fragment jego ciała promieniował entuzjazmem.

— Dotty! — powiedział. — Znalazłem to. Znalazłem dowód. Byłem już kiedyś w tym miejscu, tysiące lat temu, kiedy tutaj nie było jeszcze ruin. Pamiętam to.

W sposobie zachowania dziewczyny, widoczne było zmęczenie.

— Proszę cię, Herb. Musisz o tym wszystkim zapomnieć. Za dużo mówisz!

Jego postać zeszywniała.

— Nie martw się. Nikomu nie powiem, dopóki nie zdobędę dowodów, które przekonają nawet ich. Gdzieś tutaj musi leżeć coś zakopanego. Coś, co będę sobie w stanie przypomnieć. Zaczną kopać w miejscu, w którym skała była nietknięta od pięciu tysięcy wieków i znajdą to co powiedziałem, że tam jest.

Dotty pokręciła głową.

— Nie, Herb. Gdyby to było na Ziemi, mogłabym ci nawet jakoś uwierzyć. Ale nie tutaj, na Marsie. Ci... ci ludzie nie byli nawet humanoidami!

— Tak samo, jak i ja — ochryple wyszeptał Herb.

Westchnąłem z żalem. Widziałem zbyt wiele przypadków, takich jak ten. Nauczyłem się traktować ich z szacunkiem. Ale to była praca, a człowiek musi włożyć coś do garnka.

Przewodnik zaczął zaganiać turystów z powrotem do autobusu. Wmieszałem się w tłum, a kiedy Dotty i Herb wsiedli do środka, udało mi się trzymać w blisko nich.

— Gdzieście wy poszli? — zawołał człowiek w hełmie korkowym, z fotela na którym siedział. — Nie znikajcie mi nigdzie. Założyłem nową rolkę do kamery. W następnym miejscu chcę nagrać parę ujęć, was razem.

— Dobrze, George — posłusznie odpowiedziała mu Dotty.

Ona i Herb musieli poszukać sobie oddzielnych siedzeń. Nie mogli ze sobą rozmawiać, tak więc rozglądałem się tylko i przyglądałem całej trójce po kolei. Człowiek w korkowym kasku, George, był mieszanką normalną, można było zupełnie nie przejmować się jego reakcjami, dopóki mógł poświęcać się swojej pasji.

Autobus objechał wydzielony taśmami obszar w centrum starożytnego miasta, była to część uznana za zbyt niebezpieczną, z powodu zagrożenia zapadliskami, i udał się w kierunku północnego krańca ruin, do miejsca przypominającego starożytne cmentarzyska na Ziemi. Jedyną poważniejszą różnicą było to, że tutaj pod równo rozmieszczonymi kamieniami, nie odkryto żadnych szczątków. Istniały pewne wątpliwości, czy to na pewno był cmentarz. Ale przewodnik obwieścił, że był. Jego słowa, kiedy autobus zatrzymał się, wywarły na Herbie wyraźny skutek. Znowu zaczął to swoje trzepotanie łokciami i obejrzał się na Dotty, z

triumfalnym uśmiechem na ustach. Szybko wstałem i przysunąłem się, żeby słyszeć co będzie mówił.

Protestował, kiedy George uparł się, aby zrobić kilka ujęć, potem jednak dał spokój i zaczął współpracować, tak by jak najszybciej mieć to z głowy.

W końcu George zatrzasnął wieczko kamery. Herb wymamrotał do Dotty coś, czego nie usłyszałem, i ruszyli zdecydowanie jedną z alei między rzędami kamieni, jakby kierowali się do jakiegoś określonego celu.

Nie mogłem ich śledzić, gdy oddalili się od głównej grupy. To byłoby zbyt oczywiste. Zamiast tego skręciłem więc w bok, mając nadzieję, że kiedy dojdą do celu uda mi się coś wyczytać z ruchu ich warg.

Odszedłem dosyć daleko od moich spacerowiczów, wyciągnąłem mirroskop, wycelowałem go w tamtą stronę i powiodłem soczewkami obiektowymi, aż ustawiłem je na nich. Miałem szczęście. Stali odwrócenii twarzą w moim kierunku.

— To wcale nie jest cmentarz — powiedział Herb, wymownie gestykulując rękoma. — To był parking, a przy tym kamieniu parkowałem moje sanie powietrzne. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj.

Nie sposób było nie podziwiać podświadomości tego człowieka. To był naprawdę wspaniały pomysł. Eksperci by go nie poparli, ale prawdopodobnie nie udaloby im się dowieść, że myli się co do tego. Ale Dotty spierała się z nim.

— Jak możesz udowodnić, że to był parking? — Jej oczy przebiegły po rozległym terenie usianym regularnie kamieniami. — Z pewnością to miejsce nie wygląda specjalnie praktycznie, jak na parking.

— A jednak, dokładnie do tego służyło. Szkoda, że nie mam przy sobie żadnej łopaty. Zdaje się, że przypominam sobie, jak coś zakopałem koło mojego kamienia. Gdyby udało mi się to znaleźć, mógłbym udowodnić, że naprawdę pamiętam to miejsce.

— Dlaczego nie dasz sobie z tym spokój? — błagała go Dotty. — Przecież, nawet gdyby to była prawda, to jakie miałyby to znaczenie, dzisiaj?

— To miałyby znaczenie dla mnie. Przez cały czas od przylotu tutaj, widzę same znajome rzeczy. Za bardzo znajome, żeby można było mówić o zbiegu okoliczności. Nigdy wcześniej tak się nie czułem. Zawsze uznawałem reinkarnację, za starożytny przesąd, tak samo jak wszyscy. Ale teraz już nie. Ja, wiem. Żyłem tutaj, kiedy ta planeta była jeszcze młoda.

— Ale czy nie możesz po prostu zaakceptować tego uczucia, i zostawić sprawę w spokoju? — spytała Dotty. — Obawiam się, co powiedzą o tobie ludzie, kiedy dowiedzą się, o czym rozmyślasz.

— Ha! — parsknął Herb. — Mam wrażenie, że do czasu zanim odlecimy z Marsa, będę w stanie to wszystko udowodnić. Gdzieś w tym mieście, jest coś, o istnieniu czego wiem tylko ja. To jest ukryte pod kamieniami, które nie były tknięte od czasu kiedy pierwszy człowiek postawił nogę na tej

planecie. Nie jest dla mnie jeszcze do końca jasne, co, ale będzie... będzie. Wtedy będą mnie musieli wysłuchać. Zaczną kopać, i znajdą to, co powiedziałem że tam jest. Poczekaj, to sama zobaczysz.

— Zamkną cię pod kluczem, kochanie — przekonywała go Dotty. — Nie uwierzą ci.

Przewodnik zwoływał wszystkich z powrotem do autobusu. Obserwowałem, jak Herb popatrzył groźnie na kamienny znacznik, który jak uważał, kiedyś do niego należał. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem odwrócił się tak, że nie widziałem jego ust. Z żalem schowałem mirroskop i poszedłem do autobusu.

Wiedziałem dokąd teraz pojedziemy i trochę się tym niepokoiłem. Herbowi i Dotty udało się usiąść razem, a mnie zająć miejsce bezpośrednio za nimi, z którego mogłem ich podsłuchiwać. Ale oboje siedzieli w milczeniu.

Autobus wyjechał ze starożytnego miasta, zmierzając przez pustynię w kierunku jednej z niewielu budowli na Marsie, które stawiały czoła niszczącemu upływowi czasu i nie zmieniały się w rozpadające się ruiny. Potężna kopuła z twardego betonu, wzmocnionego prętami z czystej miedzi, twardszej niż stal. Marsjanie wiedzieli o rzeczach, o których ziemską cywilizacja dowiedziała się dopiero około roku trzytysięcznego; że miedzi nie da się hartować, ale czysta miedź hartuje się sama z siebie, w ciągu tysiąca lat.

Ta ogromna kopuła podziurawiona była siecią korytarzy i pomieszczeń, część z nich nie była otwarta dla turystów. Dla Herba będą one czymś naturalnym.

Autobus zatrzymał się, Ludzie wysypali się na zewnątrz i z ciekawością spoglądali na powierzchnię kopuły. Szczególnie na miejsca gdzie pręty zbrojeniowe wystawały spod betonu, błyszcząc jak zmatowiałe złoto.

Dwóch stałych strażników wyszło na zewnątrz, żeby zająć się wycieczką. Pochwyciłem spojrzenie jednego z nich i kiwnąłem głową w stronę Herba. Strażnik zrozumiał o co mi chodzi, przysunął się niby mimochodem do swojego partnera, i wkrótce potem obaj mężczyźni wiedzieli już, że Herb ma być ściśle pilnowany.

Poczułem się lepiej, na myśl, że kilka innych osób wie o nim. Może lepiej byłoby od razu zamknąć go w areszcie. Ale to oznaczałoby niepotrzebną scenę.

Procedura zwiedzania przewidywała, że o wszystkim opowiada idący na czele grupy przewodnik, oprowadzając ją po wydzielonych liniach częściach kopuły, podczas gdy dwóch strażników idzie na końcu, upewniając się, żeby żaden maruderzy nie pozostali z tyłu.

Pozwoliłem by trzech, czterech ludzi weszło przede mną, tak by Herb nie nabrał podejrzeń. Dotty trzymała się tuż przy nim, wyraźnie zmartwiona. A on był bardziej podekscytowany, niż w którymkolwiek z poprzednich miejsc. Aż drżał z niecierpliwości, a jego oczy pieściły ściany kopuły gorączkowym spojrzeniem.

Jego wyraźne ożywienie nie uszło uwagi Dotty. Szczególnie, kiedy parę razy wyszeptał jej coś do ucha.

Przewodnik ruszył zwykłą drogą. Prosto w głąb kopuły, zatrzymując się po drodze w pół tuzinie niewielkich pomieszczeń z rzeźbionymi ścianami, aby dojść do zespołu wind zainstalowanych dokładnie w samym jej środku; następnie na górę, na dach i platformę obserwacyjną, z której można było oglądać całe mile pustyni i ruin. Potem z powrotem w dół, na drugi poziom, żeby przejść zygzakiem przez szereg kolejnych pomieszczeń, i w końcu schodami na sam dół, do miejsca w którym wycieczka się rozpoczęła.

Trzymałem wzrok wbity w tył głowy Herba. W ten sposób wiele można zobaczyć. Na początku głowa kręciła się mu na wszystkie strony, pokazując że był bardzo zainteresowany wycieczką. Czekałem na to charakterystyczne nagłe napięcie, z głową skierowaną w jakiś określony punkt, które wskazałoby na raptowne poruszenie się pamięci w umyśle mężczyzny.

Kiedy nadeszło, niemalże je przegapiłem, ponieważ stało się to pomiędzy dwoma korytarzami – koło zupełnie pustej ściany. Króciuteńka chwila bezruchu, a następnie Herb poszedł dalej, jak gdyby nigdy nic.

Teraz jednak jego głowa przestała wykonywać te wywołane ciekawością obroty. Wyglądała jak głowa człowieka, który stracił całe swoje zainteresowanie – który na coś się zdecydował. Nie podobało mi się to.

I kiedy grupa ponownie wydostała się na zewnątrz, a Herb nie spróbował niczego zrobić, wiedziałem jaśniej i z większą pewnością, niż cokolwiek innego w życiu, że zamierzał tutaj wrócić, i to szybko.

W toalecie, zanim wsiedliśmy do autobusu, napisałem pośpiesznie notatkę do strażników, żeby sprawdzili miejsce w połowie drogi między korytarzami 14 i 15 na pierwszym poziomie. Wsunąłem ją skrycie jednemu z nich, kiedy przechodziłem koło niego w drodze do autobusu.

W trakcie wycieczki, zwiedzaliśmy jeszcze cztery kolejne miejsca. Kiedy Herb w żadnym z nich nie okazał prawdziwego zainteresowania, potwierdziło to tylko fakt, którego i tak byłem pewny, że planował powrót do kopuły.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w hotelu Starożytne Miasto, głęboko odetchnąłem i wkrótce Herb oraz Dotty znaleźli się pod obserwacją wprawnych ludzi, ja zaś mogłem pójść do swojego pokoju.

Kiedy się w nim znalazłem, zadzwoniłem do kopuły. Właśnie przenosili w tamto miejsce zestaw rentgenowski, żeby przebadać ścianę, i obiecali powiadomić mnie natychmiast jak tylko skończą. Potem zadzwoniłem do C.I i przekazałem swój raport. Ciągłe jeszcze to robiłem, kiedy przerwała mi operatorka z centrali telefonicznej.

— Pan Steve Merrit chciałby z panem rozmawiać — oznajmiła rzeczowo.

— Proszę połączyć w obwód trójstronny — odparłem.

Usłyszałem głos Steve'a.

— Musiałem ci przerwać, Joe. Ten facet, Herb, i jego żona właśnie opuścili hotel.

— C.I. też to słyszy — poinformowałem go. — Czy powiedzieli coś, co mogłoby wskazywać dokąd się wybierają?

— Najpierw na cmentarz. On buchnął parę noży i widelców, kiedy skończyli jeść obiad. Może jako broń.

— Wątpię w to — stwierdziłem. — Ale myślę, że czas już go zdjąć. On powinien znaleźć się pod kluczem.

— Chwileczkę — powiedziało C.I. — Joe, podpuść ich. Przyłącz się do nich i zagraj z nimi. Powiedz temu Herbowi, że przypadkowo go usłyszałeś i domyśliłeś się, co się dzieje. Pozyskaj jego zaufanie, jeśli ci się uda.

— To dosyć niebezpieczne! — zauważyłem. — Ten gość...

— To rozkaz — poleciło C.I. — Steve, ty zarzuć sieć, tak byśmy niezależnie od tego co się wydarzy, mieli wszystko w środku.

I to był koniec dyskusji. Rozkaz. Nadal jednak zupełnie mi się to nie podobało.

Podszedłem do biurka i wyjąłem moją kompaktową broń paraliżującą. Potem, z niechęcią, odłożyłem ją z powrotem. Musiałem odegrać swoją rolę. Broń paraliżująca, natychmiast zdemaskowałaby mnie jako agenta. Musiałem zaufać Steve'owi i innym, że zdołają powstrzymać zagrożenie.

Na dole w holu, spotkałem czekającego z niecierpliwością Steve'a. On również był zaniepokojony.

— Co się dzieje z C.I.? Postępując w ten sposób, bawią się z uzbrojoną bombą.

— Myślę, że wiem o co im chodzi, chcą pozwolić mu zejść na tyle daleko, żebyśmy dowiedzieli się więcej o naturze niebezpieczeństwa. I mam tylko nadzieję, że nikt przy tym nie zginie. Powinni wcześniej zauważyć tego Herba i w ogóle nie pozwolić mu tutaj dotrzeć. Podejrzewam, że go wyłapali, ale pozwolili mu tu przylecieć, żeby przeprowadzić kolejny z tych swoich przeklętych eksperymentów. Nie chcą tego tak zostawić w spokoju.

Znaleźliśmy się już na zewnątrz. Jak okiem sięgnąć nie było widać nikogo. Słońce właśnie zaczynało zachodzić, i w chwili kiedy zniknie za horyzontem, zapadnie zupełnie czarna noc. Nawet jeśli na niebie będzie któryś z księżyców.

— Będziemy wszystko obserwować na standardowym paśmie C.I. — zapewnił mnie Steve. — W tej chwili, są w świątyni, czekają aż zrobi się ciemno. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Powodzenia.

W jego głosie słychać było mieszaninę szczerości, delikatnej kpiny i niepokoju.

Dosyć łatwo znalazłem ich w ruinach świątyni i zdecydowałem się wybrać najprostszy kurs. Podszedłem prosto do nich.

— Cześć — oznajmiłem. — Tak myślałem, że was tutaj znajdę. Chcę się do was przyłączyć. Jestem zainteresowany.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Herb był podejrzliwy i zachowywał się wrogo.

— Pamiętacie mnie przecież. Dzisiaj po południu byliśmy razem na wycieczce. Przypadkowo słyszałem o czym mówicie. Gdyby udało się udowodnić reinkarnację, to byłoby coś.

— Wierzysz w reinkarnację?

Zmarszczyłem brwi, jakbym starał się udzielić ostrożnej odpowiedzi.

— Nie wiem. — Potem wykrzywiłem twarz w rozbrajającym uśmiechu. — Ponieważ wiara w nią, jest pod względem prawnym klasyfikowana jako obłąd, to tak do zapisów, nie.

To było niezłe stwierdzenie. Mogło implikować, że wierzę, i Herb przyjął to jako prawdę. Zaakceptował mnie. Z Dotty, sytuacja wyglądała inaczej.

— Skąd wiesz, że to nie agent? — spytała Herba z niepokojem.

— Jeśli nim jestem, to mleko się już rozlało — odparłem jej. — Ale czy wtedy bym go nie zamknął? — To ją uspokoiło, ale nadal nie satysfakcjonowało. — W każdym bądź razie, jeśli możesz tutaj wykopać, coś co pamiętasz, że zakopałeś, dodatkowy świadek w niczym ci nie zaszkodzi. Po to przecież tutaj jesteś, co nie? Po dowód, który rozproszy ostatnie skrawki wątpliwości.

— To prawda — przyznał Herb. — No i możesz pomóc mi w kopaniu.

— No to, w porządku — powiedziałem.

I rzeczywiście, wszystko było ustalone. Przedstawiliśmy się sobie, a potem zapadliśmy w milczenie, w oczekiwaniu na zachód słońca. Nie trwało to długo.

Kiedy pokonywaliśmy drogę wzdłuż rzędu kamiennych znaczników, całe to miejsce oświetlane niepewnym blaskiem wzbudzonym przez ultrafioletowe ołówkowe latarki, jeszcze bardziej niż zwykle wyglądało na cmentarz. Herb szedł pewnie, w jedno określone miejsce. Dotty trzymała się tuż koło niego, ciągle żywiąc lekkie podejrzenia w stosunku do mnie. Podążałem za nimi, pół kroku z tyłu.

W końcu Herb zatrzymał się koło jednego ze znaczników.

— To tutaj — delikatnie oznajmił.

Rzuciłem okiem na znacznik, a następnie na Herba. To nie był ten, który podziwiał samotnie dzisiejszego popołudnia. Czy czegoś nie kombinował?

Jeśli nie, to był naprawdę dobrym aktorem. Wyjął jeden z noży stołowych, przykucnął i zaczął rozgrzebywać ziemię, rozluźniając ją, tak by mógł odgarniać ją ręką.

Przypatrywałem mu się, jak kopie. Przez część czasu pomagałem mu. Nie znaleźliśmy niczego. Po rozsądnie długim czasie poświęconym na grzebanie w ziemi, Herb wyprostował się z westchnieniem rezygnacji.

— Chyba się pomyliłem — przyznał.

— Biedny Herby — zadrwiła Dotty.

— Taaa, biedny Herby — powiedział Herb wyglądając na strasznie zmęczonego i pokonanego. — Ale, tak niestety jest. Joe, przepraszam, że rozbudziłem w tobie te wszystkie emocje, wokół niczego. Chyba było tego

zbyt wiele, aby można było czegokolwiek się spodziewać. — Zwrócił się do Dotty. — Skoro już tutaj jesteśmy, zrobmy sobie mały spacer. Co?

To była chyba najbardziej oczywista wymówka, jaką w życiu słyszałem. Świetnie. Stałem wobec alternatywy zmycia się stąd, albo jawnego oskarżenia go o kłamstwo.

— Chyba równie dobrze mogę już wracać do hotelu — odparłem radośnie. — Do zobaczenia, rano.

Ruszyłem z powrotem drogą którą tutaj przyszliśmy, dopóki nie byłem pewny, że nie mogą mnie słyszeć, ani widzieć w świetle swoich latarek ultrafioletowych. Potem odskoczyłem za kolejny znacznik i zacząłem czekać. Po kilku chwilach usłyszałem ostrożne kroki.

— To ja, Joe – Steve.

— Dobrze — chrząknąłem. — Co oni teraz robią? Spławili mnie.

— Widziałem całe przedstawienie — powiedział Steve. — Gładko. Mamy teraz wkroczyć, czy czekamy?

— Myślę, że jeszcze trochę pociągnę swoją rolę. Nie chcę, żeby C.I myślało, że straciliśmy zęby.

— Okej — stwierdził Steve. — Następny pogrzeb na który się wybierzemy, to może być nasz własny.

— Taaa — przyznałem. — Może być.

Ruszyłem w ciemnościach, nie używając latarki ultrafioletowej, ale mając założone okulary wzmacniające, tak bym mógł zobaczyć latarkę Herba, gdybym znalazł się dostatecznie blisko.

Dotarłem do miejsca, w którym kopaliśmy. Zawahałem, a potem poszedłem dalej w stronę punktu, którym Herb i Dotty byli tacy zafrapowani dzisiejszego popołudnia. Oczami umysłu, widziałem dokładnie, gdzie to jest.

Wyciągnąłem przed siebie ręce, obmacując każdy kamienny znacznik, mijany przeze mnie po drodze, przywierając do niego kiedy go mijałem i prześlizgując się potem do następnego. W tej całkowitej czerni, były one moim jedynym kontaktem z rzeczywistością.

A także, myślałem. Myślałem o tym, co powiedział Herb, że był to parking dla sań powietrznych, w czasach gdy to miasto żyło, na długo wcześniej, zanim na Ziemi pojawiły się pierwsze znane ślady człowieka. Prawdopodobnie miał co do tego rację. Analizy wykazały na górnej powierzchni części ze znaczników obecność miedzi i aluminium, co mogło być spowodowane wyłącznie przez jakieś metalowe obiekty ustawione przez dłuższy czas na ich wierzchołkach, tak by mogło dojść do wnikięcia cząsteczek i atomów metalu, głęboko w powierzchniowe warstwy krystaliczne kamienia.

Zastanawiałem się też, co on spodziewał się wykopać. Jeżeli miałyby to być jakiegoś rodzaju broń, to najprawdopodobniej nie będzie ona działać po tak długim czasie. To niemożliwe! A co, jeżeli jednak będzie? Parę rzeczy udało się zebrać razem na temat starożytnej cywilizacji marsjańskiej. Niewiele, ale na tyle dużo, żebyśmy mogli być pewni, że wiedzieli oni o kilku sprawach, których my nigdy nie odkryliśmy. Byli mistrzami w tworzeniu maszyn nie posiadających części ruchomych.

Urządzenia elektroniczne, które znaleźliśmy, pokazały, że wiedzieli znacznie więcej o V.H.F., niż my.

Rozumiałem teraz, jakimi celami kierowało się C.I. Moglibyśmy nawet nie rozpoznać tego, czego szukał Herb. Lepiej będzie pozwolić mu, żeby sam to odnalazł, i zabrać mu to zanim będzie w stanie tego użyć. Jeżeli była to broń.

A, prawdopodobnie, była to broń. Byłem całkiem pewien, że jego główny cel spoczywał ukryty w ścianie w kopule, a ta rzecz z cementarza miała mu jedynie pomóc w realizacji tego celu.

Moje myśli wróciły do otaczającego mnie świata. Znajdowałem się niecały tuzin stóp od miejsca, w którym powinni być Herb i Dotty. Zatrzymałem się. Nie było śladu ultrafioletowego światła. Wstrzymałem oddech i zacząłem nasłuchiwać. I wkrótce usłyszałem cichutkie skrobanie noża o kamień.

Złowałem gorąco, że nie miałem standardowego noktowizora C.I., tak żebym mógł coś zobaczyć. Steve prawdopodobnie wiedział więcej, co tam się dzieje, niż ja. Liczyłem na to, że będę mógł obserwować Herba, świecącego swoją ultrafioletową latarką, ale on pracował w ciemności.

Ostrożnie podkradałem się do przodu, cal po calu, z uszami nastawionymi na wychwycenie najlżejszego dającego się rozpoznać dźwięku, takiego jak pełne satysfakcji chrząknięcie, które powiadomiłoby mnie o znalezieniu przez niego tego, czego szukał.

W głowie szczydziło ze mnie miliony myśli, myśli o ostatnich odkryciach w dziedzinie częstotliwości dezintegracyjnych, myśli o tym, jak niewiele wiedzieliśmy o starożytnej cywilizacji marsjańskiej.

Ale też usiłowałem sobie wyobrazić, co mógł zrobić Herb. Powiedzmy, że znajdzie tę rzecz, którą usiłował wykopać. Mimowolnie chrząknie z triumfem. Dotty może zapomnieć surowych napomnieniach, żeby zachować ciszę, i coś powiedzieć. Niezależnie od tego, on powoli się wyprostuje, badając palcami to co znalazł, przypominając sobie do czego to służy i jak tego używać. Zajmie mu to parę sekund, zanim to coś zmieni się w jego rękach w broń, sekund, które musiałem jak najlepiej wykorzystać, i być na nie przygotowany.

— Uch! — To było to triumfalne chrząknięcie, na które czekałem.

Nagły atak paniki skłonił mnie do odrzucenia tego, najbardziej mglistego planu działania, jaki w ogóle miałem.

Włączyłem swoją latarkę, zalewając ich dwoje ultrafioletowym światłem. Jednocześnie powiedziałem:

— Tak myślałem, że to spisek, żeby się mnie pozbyć.

Uratował mnie element zaskoczenia. Nieruchomy obraz sceny pokazanej przez ultrafioletowe światło wrył mi się w pamięć na zawsze. W dłoni Herba, spoczywał jakiś przedmiot. Dziwny przedmiot, niewiadomego przeznaczenia, brudny, a jednak o określonej formie. Spoczywał w jego dłoni jak broń. I był wycelowany niemal prosto we mnie.

Upuściłem trzymaną w rękę latarkę i rzuciłem się długim nurem w kierunku jego stóp. Poczułem jak trzeszczy powietrze, w miejscu gdzie przed chwilą stałem. Kiedy moje ramiona otoczyły jego nogi, usłyszałem eksplodujący w pobliżu grom.

Trening ma jednak swoje zalety. W chwili kiedy poczułem kontakt z Herbem, kontrolę nade mną przejęły wytrenowane odruchy. Szarpnąłem i przetoczyłem się, ruchem skalkulowanym na rzucenie go na ziemię twarzą na dół, cała sekwencja działań kończyła się chwytem od tyłu.

Ale jedynie część mojego umysłu była tym zaabsorbowana. Druga część była zmartwiała z przerażenia. W przybliżeniu pół akra cementarza płonęło. Widziałem Steve'a w samym środku tego obszaru, gdy broń Herba wycelowana była w jego stronę. Przez tę krótką chwilę Steve'a utrzymywała całości wyłącznie sama inercja materii, a potem rozpadł się na części, stopił i wyparował jednocześnie, podobnie jak kamienne znaczniki i ziemia wokół niego.

Szybko odsunąłem ten znaleziony przedmiot daleko od niego, i zastanawiałem się, co robić dalej. Tupot nóg przyniósł mi odpowiedź. Zbiegali się zewsząd pozostali agenci C.I.

W kilka sekund później mieli Herba pod kontrolą. Dotty wykręcała palce i płakała.

Co do mnie, trzymałem tę rzecz, bojąc się ją odłożyć i jednocześnie bojąc się trzymać ją dalej. Ale kiedy minęły kolejne sekundy, a ona nie wybuchła ponownie żadnym destrukcyjnym działaniem, zacząłem dopuszczać do siebie myśl, że może jeszcze trochę pożyję.

Zniszczony obszar, teraz zupełnie się stopił. Biło od niego gorąco, jak z otwartego pieca hutniczego.

Ominęliśmy go i skierowaliśmy się w stronę drogi. Widoczne z oddali światła mówiły nam, że już zbliżały się tam samochody, aby nas zabrać.

Zobaczyłem, że Dotty się potknęła. Wzięłem ją pod rękę. Uniósł do góry wzrok, poznała mnie w świetle bijącym od jasnego basenu bulgocącej lawy, i próbowała się odsunąć.

— Spokojnie — powiedziałem szorstko. — Jestem twoim przyjacielem. Być może jedynym przyjacielem, jakiego tutaj masz.

Jej spojrzenie mówiło, że mi nie wierzy, ale już się nie odsuwała.

Szliśmy koło siebie, i po chwili wydawało się, że zaczęła wydobywać się ze swego paraliżu umysłowego.

— Herb miał rację! — powiedziała cichym, zdziwionym głosem. — On naprawdę to wszystko pamiętał.

— To czysty zbieg okoliczności — przerwałem jej ostro. — I nigdy nie pozwól sobie, żebyś myślała na ten temat inaczej. On oszalał. To znana forma obłądu. Zostanie wysłany do dobrego szpitala psychiatrycznego, i za rok lub dwa wyjdzie stamtąd jak nowo narodzony.

— Zbieg okoliczności? — powtórzyła. Potem się zaśmiała. Był to rodzaj wesołości, który zmierzał szybko w kierunku histerycznej bezradności. Wbiłem palce w jej ciało, aż ból przywrócił jej zdrowy rozsądek.

— Zbieg okoliczności — przytaknąłem. — I nic więcej. Mam za sobą siedemnaście podobnych do tego przypadków. Jak inaczej mógłbym go zauważyć? Natychmiast rozpoznałem ten typ. Żaden z pozostałych nie

znalazł rzeczy, które wykorzystywali do racjonalizacji w sobie przekonania, że pamiętają czasy, kiedy byli Marsjanami. W końcu któryś z nich musiał się na coś natknąć. To zbieg okoliczności. Nie żadna tam mityczna pamięć poprzednich wcieleń.

Odwróciła głowę w moją stronę i obrzuciła mnie wzrokiem. Potwierdziłem ponuro.

— Tak, jestem agentem — przyznałem. — Jeżdżę na wycieczki wyłącznie w jednym celu – aby wyszukiwać psychicznych i upewnić się, że nie wyrwą się spod kontroli. Byłabyś zdziwiona ilu ich jest. Niektórzy z nich, jak twój mąż, prawdopodobnie nie wykazują żadnych oznak niestabilności, zanim nie przylecą tutaj. Na Marsie widzą wszędzie wokół siebie ślady cywilizacji, która istniała zanim na Ziemi wyewoluował homo sapiens, i to wywołuje u nich wstrząs. Jeśli chcesz to lepiej zrozumieć, poczytaj sobie trochę książek medycznych. Prześladowają ich irracjonalne pre-wspomnienia. Patrzą na coś i poczucie że już to się gdzieś widziało, kojarzy się z nowymi wrażeniami. Spoglądają za następny róg, znów coś wpada im w oko i rozbudowują w sobie przekonanie, że w świadomy sposób wiedzieli co to będzie, jeszcze zanim spojrzeli za ten róg

Czułem, że robię z nią postępy. Chciałem tego. Musiałem to zrobić.

— Mówisz... mówisz że było wielu innych i oni nie znaleźli niczego? — spytała. Próbowwała znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie, którego mogłaby się uchwycić. Musiałem jej coś takiego dać.

— Zgadza się — odparłem. — A prawo wielkich liczb mówi, że kiedyś ktoś w końcu odkryje coś, co zostało przegapione.

Zaczęła teraz powoli kiwać głową, przyjmując do wiadomości to co jej powiedziałem. Brzmiało to bardzo przekonująco. Znajdzie potwierdzenie tego w bardzo autorytatywnych książkach. Jeśli będzie chciała dążyć temat, powinna odkryć całe mnóstwo dowodów, prawdziwych dowodów, które to wszystko potwierdzą. To jest powszechna forma obłędu. Ważne było, żeby w to uwierzyła.

Dotarliśmy do drogi. C.I. było przygotowane. Czekał na nas samochód, który miał ją zabrać z powrotem do hotelu, ambulans dla Herba, który był teraz bardzo uległy, oraz trzeci samochód na mnie i mój cenny ładunek.

Dziesięć minut później, byłem już w piwnicach Gmachu Nauki, kładąc ten przedmiot na drewnianym stole, bardzo delikatnie. Wydawał się solidnie zbudowany, wszystkie części składowe jego konstrukcji zrobione były z różnych metali.

Żaden z ludzi przyglądających się jak go kładę, nie zwracał uwagi na niebezpieczeństwo w nim zawarte. Zbyt dobrze wiedzieli jak kształt i rozmiary mogą oddziaływać na elektroniczne właściwości metalu. Zdawali sobie sprawę, że przedmiot ten raczej nie zawiera w sobie ani erga swojej własnej energii, ale prawdopodobnie uruchamia i kieruje wyzwaniem kosmicznych energii, ciągle jeszcze im nie znanych.

Wpatrywali się w niego. Jeden z nich wyciągnął rękę, żeby go dotknąć, ale potem powoli odsunął palce.

Widziałem jak w ich głowach, za zasłoną poważnych oczu, krystalizuje się decyzja. Przedmiot ten, razem z innymi obcymi i niezrozumiałymi maszynami, zostanie zamknięty w betonowych schronach budynku położonego w głębi marsjańskiej pustyni, z dala od turystycznych szlaków przecinających tę martwą planetę. Pozostanie tam do czasu, kiedy wiedza ludzkości posunie się wystarczająco daleko, aby zrozumieć jego działanie.

— A co ze ścianą w kopule? — spytałem.

— Wygrodzili ją poza turystyczną trasę. Boją się tego ruszać.

— Przekonał pan jego żonę, że on oszalał? — spytał jeden z zespołu naukowców.

Skinąłem głową.

— Użyłem tego samego, starego podejścia. Powiedziałem jej, że było już dziesiątki podobnych przypadków, zaś sama ich liczba powoduje, że w końcu któryś z nich coś musi znaleźć.

Pokiwał głową, uśmiechając się szeroko niewesołym uśmiechem.

— Jak my kochamy łąć.

Odwróciłem się. Czułem w ustach gorzki niesmak, po tych wszystkich opowiedzianych przeze mnie kłamstwach – wszystkich tych nonsensach.

Znałem bowiem także prawdę. Byłem jej równie pewien, jak wszystkiego innego. To, oczywiście, nie było żadne szaleństwo. Nie chodziło również o reinkarnację. Chociaż tak to wyglądało, ponieważ umysł ma zwyczaj brania w posiadanie jako swej integralnej części, wszystkiego co do niego wnika.

Prawda w tej sprawie wyglądała tak, że w jakiś niepojęty dla nas sposób, Marsjanie ciągle byli pomiędzy nami. Nienawidzili nas i wiedzieli jak wykorzystać przeciwko nam najsłabszych z nas.

Starzy Marsjanie – i ich wiedza naukowa.

Rzuciłem po raz ostatni okiem na leżącą na stole broń, a potem wyszedłem z pomieszczenia i wspiałem się schodami na pierwsze piętro. Przemierzyłem cichy, pusty hol, kierując się w stronę drzwi i wyszedłem na zewnątrz w mroki nocy.

Pozwoliłem swym oczom wędrować po ciemnościach pozbawionej życia marsjańskiej pustyni. Z wysiłkiem oderwałem od niej wzrok i skierowałem go na ciepło, ludzkie ciepło, bijące z hotelu.

Zacząłem iść w stronę tej odrobiny komfortu, a po drodze w głębi moich myśli unosiło się to wieczne pytanie prześladowające nas wszystkich w C.I.

Czy będziemy w stanie powstrzymać Marsjan do czasu aż zrozumiemy te wszystkie straszliwe maszyny, które zostawili nam jako śmiertelnie niebezpieczne dziedzictwo?

Dzisiaj w nocy, niemalże nam się to nie udało...

Myślałem również o Stevie.

KONIEC